



Witold Grzybowski

część IV z V

Sygnatura notacji: **N0147**

Data urodzenia: **04.04.1928 r.**

Data nagrania: **29.09.2022 r.**

Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Szymon Nowak**

Czas nagrania: **część I: 58 min, część II: 51 min, część III: 58 min,**

Format nagrania: **video** **część IV: 44 min, część V: 36 min**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Witold Grzybowski: W pierwszych dniach stycznia 1945 przewieziono nas do więzienia, już takiego prawdziwego, w Tomaszowie Mazowieckim. Nowością było to, że zrobiono nam ewidencję. Każdemu spisano osobny arkusz taki: imię, nazwisko, data urodzenia i te wszystkie dane takie potrzebne, i oczywiście gdzie działał, w jakim oddziale, i tak dalej. Ja się już nie krępowałem. To był termin taki, kiedy nic nie mogli, nie mogło to zaszkodzić oddziałowi, bo w zasadzie działalność oddziału się skończyła, tak jak ja brałem udział w nim, i zresztą Niemcy już też byli trudnej fazie odwrotu. 12 stycznia zaczęła się przecież zimowa ofensywa sowiecka z nad Wisły. Jeszcze jedna rzecz. Przed zamknięciem nas w celach kazano nam się rozebrać, wykąpaliliśmy się w zimnej wodzie, a odzież została wyparowana w kotłach, tak że wreszcie skończył się ten nieprzyjemny okres panowania w odzieży wszy. Tak. W zasadzie, to jest jedyny pozytywny element tego więzienia. Bo przedtem ani prasowanie, ani zlewanie naftą, ani jakieś inne próby zlikwidowania tego zmotoryzowanego łupieżu nie dawały żadnych skutków. W celi, do której mnie wprowadzono, z kolegą, który nazywał się Wacław Karpowicz – znaleźliśmy się w jednej celi – tam było ogółem czterdziestu więźniów. Cella była duża, wysoka. Jak żeśmy się kładli spać na pryczy, to czterdziestu się kładło na boku. Ciasno było w nocy, już się przewrócić nie można było na drugi bok. Ale jakoś tam żyliśmy. Mieliśmy w celi wysoko, prawie pod sufitem, okienko, z którego był widok na jedną z ulic Tomaszowa, na ulicę świętego Antoniego. Żeby zobaczyć coś, to musiało stanąć dwóch: jeden i na ramionach stawał mu drugi – tak było wysoko – i dopiero ten stojący wyżej mógł zobaczyć, co się dzieje. Na ogół nas to nie bardzo interesowało, ale po 12 stycznia zaczęło się coś dziać. I okazuje się, że 13, 14, 15 ulicą świętego Antoniego z południowego wschodu na północny zachód wędruje pełno różnych pojazdów niemieckich. I samochodów, i konnych. Cały czas ulica zapchana. I w końcu którejś nocy ulica jest już pusta zupełnie. Prawdopodobnie to był 16 styczeń. Następnej nocy, nad ranem otwierają się drzwi celi. Wypuszczono nas z celi, bo obsługa

więzienia uciekła. A z miasta ktoś przyszedł, wziął, znalazł klucze i pootwierał wszystkie cele. Wyszliśmy. Wychodząc, byłem w takim byle jakim ubraniu, taką marynareczkę cienką miałem, ale wychodząc, leżał taki stos różnych ciepłych ubrań. Wybrałem to, co mi się udało, bo tam wszyscy łapali to. Serdak ze skóry takiej. Kozuszek bez rękawów. No, jakoś w tym chodziłem i przeżyłem. Wyszliśmy na miasto, nie wiedzieliśmy, co ze sobą zrobić. Niedaleko było do krawędzi zachodniej Tomaszowa Mazowieckiego. Spotkał nas jakiś pan, rozmawiamy, przyjął nas do siebie do domu. To był krawiec. Następnego dnia wyszliśmy na miasto. Sklepy pootwierane, rozszabrowane wszystko było. Weszliśmy do dużego magazynu, gdzie były jakieś spożywcze rzeczy, ale to już właściwie ich nie było. Beczka po mleku skondensowanym, myśleliśmy, że coś tam się da wylizać. Okazało się, że już się nic nie dało, a my głodni byliśmy. No, ale znaleźliśmy potem w innym sklepie belę materiału, którą wzięliśmy, żeby temu krawcowi zanieść za to, że nas tak przechowywał. W jakimś biurze pustym już znalazłem komplet map Zachodniej Polskiej, map sztabowych z takich setek. Kompas znalazłem tam. Zabrałem to, cieszyłem się, że mam mapę. Następnego dnia, gdzieś około południa, staliśmy na krawędzi Tomaszowa od strony zachodniej. Podszedł do nas jeden żołnierz sowiecki i pyta się: „A kuda na Berlin?”. Dokąd [którędy] do Berlina? Więc pokazaliśmy mu pole, za polem był las i ten żołnierz, z karabinem i woreczkiem na plecach, w takim długim płaszczu wojskowym szarym poszedł. Jeden jedyny. Następnego dnia już było pełno sowieckiego wojska, słysząc było samoloty, tam gdzieś lądowały niedaleko na szosach. Jakieś zmotoryzowane oddziały. Myśmy jeszcze 2 dni tam byli w Tomaszowie. Nie wiedzieliśmy, co zrobić ze sobą. I w końcu zdecydowaliśmy, że wrócimy z powrotem do Miedznej Bankowej, tam, gdzie byliśmy na melinie. No, i poszliśmy. Mieliliśmy mapę. Szliśmy najkrótszymi drogami możliwymi. Bo to było ponad dwadzieścia, nie wiem, może nawet ponad trzydzieści kilometrów. W lasach suwalskich napotkaliśmy długą kolumnę pojazdów wojskowych niemieckich. Tam były i pancerne samochody i zwykłe ciężarowe samochody. Pełno papierów narozrzucanych. Pusto koło tego, nie ma ludzi. Ale co jakieś 200 metrów, może co 150 były piramidy trupów. Był mróz, bo to było środek stycznia 1945. Widać, Rosjanie nie chcieli brać do niewoli, zabijali wszystkich tych Niemców. Nikogo nie było przy tym oddziale zmotoryzowanym, już bez ludzi. Poszliśmy dalej do Miedznej Bankowej i w Miedznej Bankowej nadal przyjęli nas ci gospodarze, u których byliśmy. Mijały dni, tygodnie. Na początku, tak w pierwszych dniach sierpnia, doszła do nas wiadomość, że moi rodzice przyjechali na ziemię odzyskaną pierwszym transportem repatriacyjnym, i że zatrzymali się w miejscowości Kolsko w Powiecie Wolsztyn. No, więc decyzja jest prosta. Wiem już teraz, że stąd trzeba jechać do Kolska. Ale nie mieliśmy pieniędzy, więc jeszcze przez tydzień czasu chodziłem do sąsiada, kosiłem owies. Więc od poniedziałku do piątku kosiłem ten owies. W sobotę poszedłem odebrać pieniądze, żeby w niedzielę wybrać się do Opoczna. Tam było 10 kilometrów. W Opocznie już była stacja kolejowa. Tam kupię sobie bilet, pojedę do Kolska. Odebrałem pieniądze, wracam do domu. To już było po południu, sobota po południu. I w izbie na taborecie siedzi mój ojciec. Zaskoczenie niezwykle. Okazuje się, że tam w Kolsku też oni się dowiedzieli, że [niezrozumiałe] są gdzieś w okolicach Końskich. Ojciec wsiadł do pociągu, pojechał do Końskich i idąc z Końskich od wsi do wsi, znalazł mnie. Rzecz niezwykła, bo mojego nazwiska ludzie nie znali. Znali mój pseudonim „Kot”. Ale nazwiska na ogół... Znali imię. Ale jakoś ojciec szedł, dopytywał, i szedł w dobrą stronę. I w ten sposób ześmy się znaleźli. I w tę niedzielę już, tak jak planowałem, pojechaliśmy we dwóch do domu. Mnie było rażniej, no bo ojciec był przewodnikiem. Wiedział. Spotkanie z mamą – oczywiście radość. Przez parę dni zatrzymaliśmy się w Kolsku. Ojciec szukał pracy. W Kolsku była gorzelnia. Ojciec jako gorzelany był zainteresowany, żeby znaleźć pracę. Okazuje się, że ta gorzelnia była już, kocioł parowy był uszkodzony przez wojska sowieckie, które próbowały tę gorzelnię uruchomić. Nie nalali wody do kotła parowego, płomienicówka się wzięła. Była obawa, że może wybuchnąć. Ojciec znalazł inną gorzelnię, koło Zielonej Góry 5 kilometrów, w miejscowości

Przylep. Tam w tej chwili, właściwie to już chyba jest włączone do Zielonej Góry. Tam jest nawet lotnisko w tej chwili. Czy jest gorzelnia, nie mam pojęcia, bo bardzo dawno tam nie byłem. Przez dwa miesiące uruchomiliśmy z ojcem tą gorzelnię. Tam było trochę ziemniaków. Przerobiliśmy to. Po dwóch miesiącach skończyły się ziemniaki i już nie ma możliwości uruchamiania gorzelni. Ale w międzyczasie dowiedzieliśmy się, że w Zielonej Górze uruchomione zostało liceum. No i chciałem się uczyć w dalszym ciągu. Pojechaliśmy z ojcem. Polecili żebym napisał wypracowanie. Na podstawie tego opracowania zakwalifikowano mnie do drugiej klasy gimnazjalnej. Przeskoczyłem pierwszą. W ciągu roku szkolnego 1945-46 skończyłem dwie klasy: drugą i trzecią, bo wtedy skrócony był okres nauki i w czasie kwartału, jednego kwartału kończyło się klasę. Została mi czwarta. Jeszcze matury, tak zwanej „małej matury” nie dostałem. We wrześniu 1946 roku, kiedy mogłem pójść dalej do gimnazjum, musiałem zmienić miejsce zamieszkania i w ogóle wziąć się do roboty, bo ojciec pracował, dostawał pensję, ale z tej pensji musiał utrzymać 4 domy. Mama mieszkała w Kolsku, ojciec przy gorzelni, w tej chwili już w Sławie Śląskiej, ja w Zielonej Górze a siostra, która wróciła z robót z Niemiec, mieszkała w Łodzi. No więc utrzymanie 4 domów z jednej pensji było niemożliwe. Zdecydowaliśmy, że ja pójdę do gorzelni tej, w której ojciec był kierownikiem, że tam będę robotnikiem, będą dwie pensje i będą tylko 3 domy do utrzymania, a nie 4. I tak się zaczęło. Pracowałem przez rok, gorzelnia rolnicza. Tam, w Sławie Śląskiej były dwie gorzelnie. Ta gorzelnia, w której ojciec pracował, została zamieniona z rolniczej na przemysłową. Różnica polegała na tym, że spirytus produkowano nie ziemniaków, tylko z melasy. Melasę przywożono jako odpad z cukrowni. Tam jeszcze w tym było sporo cukru, więc to się przefermentowało, odpędzało się i był spirytus. Ojciec był kierownikiem, ja pracowałem normalnie na zmianie, bo gorzelnia pracowała już nie 6 czy 7 godzin, tylko 24 godziny. Na trzy zmiany pracowała. Najgorsza była zmiana nocna. Pierwsze dwa dni były najgorsze, bo spać się chciało. Człowiek nieprzyzwyczajony, a trzeba było żyć. Ale potem się człowiek przyzwyczajał, już było dobrze. Tam przepracowałem rok. I dowiedziałem się, że Wydział Rolny Uniwersytetu w Poznaniu organizuje kursy dla kierowników gorzelni. Więc wziąłem urlop. Pojechałem, przyjęli mnie na ten kurs. Przez rok czasu, właściwie 10 miesięcy tam trwał ten kurs. Skończyłem, dostałem dyplom, że mogę prowadzić gorzelnię jako kierownik. No, i wróciłem do Sławy z powrotem. Już wróciłem jako kierownik. Ojciec przeszedł do drugiej gorzelni, a ja pracowałem w tej gorzelni, która była poprzednio, z tym, że trzeba było wrócić, z gorzelni przemysłowej trzeba było ją znowu przerobić niejako na gorzelnię rolniczą. Dlaczego? Wywar, który powstaje po przefermentowaniu tego i odpędzeniu alkoholu z ziemniaków, idzie jako pasza dla bydła. Rolnicy to chętnie biorą, z siewką wymieszają, krowy to chętnie zjadają i jest dobrze. Natomiast wywar... z tych buraków nie nadaje się do spożycia, trzeba go gdzieś wyprowadzić. W normalnej gorzelni przemysłowej ten wywar jest odparowywany, jest suszony, i potem ten susz jest wyrzucany, gdzieś tam jakoś używany. Nie wiem jak. Natomiast tutaj nie było możliwości wysuszenia tego wywaru, więc wyprowadzono go na pole. Ogrodzono wałkiem ziemi, żeby to się za daleko nie rozprzestrzeniało, i tam to sobie parowało, samoczynnie parowało. Przez pierwszy rok było wszystko dobrze. W drugim roku zaczynało się robić źle, bo to się psuło, zaczęło wydawać niezwykle feter. Jak był wiatr ze wschodu, to miasteczko całe było zatrute. No, więc trzeba było z powrotem wrócić do gorzelni rolniczej. Mnie przypadł ten zaszczyt przygotowania jej, no, i rok czasu pracowałem jako kierownik. W tym czasie gorzelnia produkowała 78 tysięcy [litrów] alkoholu stuprocentowego, to jest ponad 85 tysięcy litrów zwykłego spirytusu. Już się szykowałem do następnej kampanii. Kampania zwykle zaczyna się jesienią, kiedy zebrane są ziemniaki. No, ale skończyłem już 21 lat. I przyszedł termin, że trzeba iść do wojska. No, więc oczywiście. Musiałem pojechać do Głogowa, gdzie był... Jak to się tam nazywało, nie pamiętam. Ten wojskowy oddział, który prowadził mobilizację. Pytają

mnie, gdzie pracuję. No, w gorzelni pracuję. Aha, to pewnie pije. Jaki sport uprawiasz? Żeglarstwo. Bo tam w Sławie było bardzo ładne jezioro i bawiliśmy się żeglarstwem. No, to nie boli się wody. No, nie boi się wody. No, to go do marynarki. Trafiłem do marynarki. Wsadzili tam..., trzech ze Sławy było. Wsiedliśmy w pociąg, pojechaliśmy. Trafiliśmy do SPAN-u. To była Szkoła Podoficerska Artylerii Nadbrzeżnej w Gdyni-Orłowie No, pierwsza rzecz, to było ogolić i przebrać w mundury. Kiedy nas ostrzygli, to żeśmy się już nie poznawali. Przyjechaliśmy razem – nie ma kolegów. Wszyscy w jednakowych mundurach. No, ale jakoś przeżyliśmy. Trafiliśmy na dobry okres, kiedy nie było jakichś niezwykłych zdarzeń w wojsku, gdzie kapral potrafił żołnierzem idącym na stołówkę, czołgać się z talerzami w zębach. Myśmy tego nie przeżyli, było zupełnie poprawnie. Komendant, kapitan Śluz, bardzo dobry człowiek był. Pilnował tej szkoły i było dobrze. Przeżyliśmy tam rekrutę, no, i potem część poszła do kompanii normalnych, – do baterii, bo to było artyleria przecież – a ja i jeszcze tam kilkudziesięciu kolegów zakwalifikowali nas do szkoły podoficerskiej. Po sześciu miesiącach szkołę skończyliśmy. Ja dostałem skierowanie do baterii na Hel, a potem przez rok czasu byłem w baterii artylerii nadbrzeżnej na Helu. Wróciłem. Po roku wróciłem. Już wróciłem jako podoficer. Miałem trzy funkcje podstawowe: opieka nad kancelarią jawną w szkole, dowództwo plutonu dalmierzystów i prowadzenia wykładów z optyki. Bo zakwalifikowali mnie do dalmierzystów, bo tam jeden pluton był dalmierzystów i dwa plutony artylerzystów, którzy obsługiwali armaty artylerii nadbrzeżnej. Jeszcze w okresie rekruckim zorganizowano strzelanie z karabinu. Wypadło mi nie nadzwyczajnie, bo karabin jaki miałem, to już tyle lufa była nawiercone, bo to było rozkalibrowane. Nie bardzo wypadłem. Śmiali się ze mnie: „O, taki as Grzybowski, i strzelać nie umie”. Ja nic nikomu nie mówiłem, że ja byłem w partyzantce, to było absolutnie ukryte. Zresztą, wcześniej, jak pracowałem w Sławie Śląskiej, tam był oddział PUR-u, to był taki Państwowy Urząd Repatriacyjny. Oni dawali zaświadczenia, i oni mi dali zaświadczenie, że ja razem z rodzicami przyjechałem tym pierwszym transportem repatriacyjnym. I byłem czysty. Zupełnie nikt nie wiedział, że ja byłem w partyzantce. Poza najbliższą rodziną nikt nie wiedział. Tak że miałem spokój. Na ten temat nikt mnie nigdy nie szarpał. W wojsku też się nie przyznałem do tego. No, jakoś tam było. Z tym strzelaniem było nie nadzwyczajnie. Potem już na szkole podoficerskiej było następne strzelanie. To ja sobie pożyczyłem karabin od kolegi, który wcześniej strzelał, miał dobry wynik. No, i też miałem dobry wynik. Już było wszystko w porządku. Potem zrobiono zawody strzeleckie. Wziąłem nich udział i też wypadłem dobrze. Następne zawody strzeleckie, to już były między kilkoma jednostkami. Znowu udało mi się zakwalifikować do reprezentacji Marynarki Wojennej. Tak, w strzelaniu z karabinu i z pistoletu. Byłem na jakimś tam obozie, przez jakiś czas na Oksywiu. Tam zorganizowano nam obóz. Wziąłem udział w Spartakiadzie Wojska Polskiego. Wróciłem. Potem zrobiono eliminacje do Mistrzostw Polski, które były organizowane w ramach województw, no więc w Województwie Gdańskim znowu zająłem dobre miejsce, trafiłem na Strzeleckie Mistrzostwa Polski. Wypadem nie najlepiej, ale wypadłem zupełnie dobrze. Zadowolony byłem. W międzyczasie jeszcze w wojsku były zawody mistrzostwa szachowe. Ponieważ ojciec mnie kiedyś tam nauczył, jeszcze jako dzieciaka, nauczył mnie grać w szachy, wziąłem w tym udział. Również trafiłem na te Mistrzostwa Marynarki Wojennej. Zająłem nie najlepsze miejsca, ale w środku byłem. Tam trzydziestu kilku było uczestników, ja zająłem 15 miejsce. Bo człowiek był naiwny i nie miał pojęcia, jak się należy na tym zachować. W jedną niedzielę poszedłem i przegrałem 5 partii od razu. I tak spędziłem kilka dni poza koszarami, bo w Kasynie Oficerskiej w Gdyni odbywały się te gry. Poznałem bardzo dobrego komandora Malinowskiego, który został mistrzem Marynarki Wojennej. Potem kiedyś prywatnie, żeśmy się spotkali. Już po paru miesiącach spotkaliśmy się w Gdyni na ulicy. On mnie zaprosił do siebie, żebyśmy zagrali w szachy. Zagraliśmy, partia się długo ciągnęła. Poszliśmy, zafundował jeszcze mi obiad, po obiedzie dokończyliśmy partię i było dobrze. Ponieważ miałem dobre wyniki w strzelaniu, to trzeci rok służby w Marynarce Wojennej już miałem bardzo dobry.

Mimo tutaj trzech funkcji w koszarach, to większość czasu spędzałem na obozach szkoleniowych i na zawodach. Bo brałem udział w Spartakiadzie Wojska Polskiego, w Mistrzostwach Polski, jakichś tam jeszcze innych zawodach. W 1952 roku, po trzech latach służby, mamy iść do domu. Ale wtedy, kiedy myśmy szli, za miesiąc od daty zwolnienia do cywila, miały się odbyć wybory w Polsce. No, więc nas jeszcze miesiąc przytrzymali. W niedzielę były wybory, w poniedziałek zwolniono nas do domu. No, miałem problem, co znowu zrobić. Wprawdzie znalazłem gorzelnię w Cieplicach koło Jeleniej Góry, gdzie mogłem zostać kierownikiem gorzelni, ale ja się jeszcze chciałem uczyć. Więc zrezygnowałem z tego, z tej gorzelni. Pojechałem do Łodzi, tam zapisałem się, rano przyjechałem do Łodzi, poszedłem od razu do szkoły, która prowadziła wieczorowe, takie były kursy dla dorosłych. Zapisałem się tam, żeby skończyć liceum, pierwszą i drugą klasę, 2 lata. A jeszcze powiem, że czwartą klasę gimnazjum to załatwiłem, pracując w gorzelni w Sławie. Jako ekstern pojechałem i zdałem w Zielonej Górze, tam czwartą klasę gimnazjalną. Było wszystko fajnie. Chciałem..., kiedy byłem w wojsku w Łodzi organizowano na uniwerku jakiś wydział, na temat fermentacji coś było. To jest zbliżone z gorzelnictwem. Napisałem, ale mnie nie przyjęli, bo nie miałem matury. No nie, to nie. Trudno. W wojsku proponowano mi, żebym został nadterminowym, ale podziękowałem, też nie chciałem zostać w wojsku. W Łodzi pracowałem przez dwa lata jako urzędnik. Chodziłem do szkoły, zdałem, dostałem maturę. Dostałem nawet dyplom przodownika jakiegoś tam pracy i nauki. Coś tam było, coś takiego dostałem. Chciałem się zapisać na Politechnikę. Interesowała mnie elektryfikacja kolei. Otworzyłem informator na temat szkół wyższych. W Łodzi jest Politechnika, jest Wydział Elektryczny, jest dział elektryfikacji kolei i specjalizacja tramwaje. Myślę: „Nie, tramwaje, to mnie nie interesują”. Ale znalazłem tam, że dla zainteresowanych matematyką i fizyką proponują Wydział Łączności w Warszawie na Politechnice. No, złożyłem podanie, przyjęli mnie. Pojechałem, zdałem egzamin z matematyki. Następnego egzaminu – wiedza, chyba jakaś tam, o społeczeństwie, czy coś takiego, taki polityczny temat był – nie musiałem zdawać, bo miałem ten dyplom ze szkoły. No i 5 lat spędziłem w Warszawie. Przeprowadziłem się do Warszawy na Politechnikę, normalnie na wydział dzienny. Nie pracowałem, uczyłem się. Miałem trochę kłopotów, bo moja nauka wciąż się rwała na kawałki. Szkoła podstawowa: druga, trzecia klasa w Miastkowie, potem czwarta i piąta w Rakowie, potem rok praktycznie przerwy i potem piąta klasa w szkole sowieckiej. Potem parę lat przerwy. Bo to był rok 1940-41, kiedy skończyłem tę szkołę podstawową. I potem dopiero w 1945 na jesieni zacząłem chodzić do gimnazjum. Druga, trzecia klasa gimnazjum, potem znowu przerwa, potem ta klasa jedna zdana jako samouk. Potem znowu 3 lata przerwy w wojsku. I dopiero potem skończone liceum. Więc ta moja wiedza była taka trochę niezupełnie taka, jak powinna być. Miałem trochę kłopotów, ale zdałem, zupełnie dobrze zdałem Politechnikę. Zacząłem pracować w Warszawie. Po uzyskaniu absolutorium, jeszcze przed dyplomem, zacząłem pracować w Warszawskich Zakładach Zakłady Wytwórcze Urządzeń Telefonicznych. Pracowałem u nich, zrobiłem dyplom, zdałem dyplom, ale już ta praca chroniła mnie przed nakazem pracy, bo wtedy, w tamtych czasach, ci, co kończyli wyższe studia, dostawali nakazy pracy. I to różnie było. Mógł zostać w Warszawie, a mógł dobrze trafić do jakiegoś pipidówka, nie wiadomo gdzie. Ale już od tego byłem zwolniony, bo już miałem pracę, na normalnym etacie pracowałem. Ponieważ miałem niezłe wyniki w strzelaniu, to kiedy wróciłem do cywila, to się zapisałem do sekcji strzeleckiej. Najpierw we Włókniarzu w Łodzi, potem przeniósłem się do Warszawy, tutaj do LPŻ-U, potem do „Gwardii”. I strzelałem. Z tym, że nie strzelałem już z karabinu, bo karabinu nie miałem. Przekonałem się o tym, że to nie ma sensu, bo kiedy na Mistrzostwa Polski pojechaliśmy pierwszy raz do Szczecina, to ja dostałem karabin z magazynu, który znajdował się na strzelnicy. Nienastrzelany, niedopasowany ten karabin. Trudno zająć dobre miejsce. Później już w tych mistrzostwach, kiedy poznałem sporo kolegów strzelców z różnych zresztą środowisk, był taki Mietek Hrydzewicz ze Szczecina. On był chyba w „Kolejarzu”. Bo wte-

dy sportem opiekowały się związki zawodowe. Ja byłem we „Włókniarzu”, on był w „Kolejarzu”, ktoś tam jeszcze był. On miał kolegów w wojsku i pożyczył karabin na jakichś zawodach – na Mistrzostwach Polski chyba – pożyczył karabin od jednego wojskowego i zajął pierwsze miejsce. Następnych 12 miejsc zajęli wojskowi. Dopiero czternasty był następny cywili. Mieli pretensje do tego, który pożyczył ten karabin, że wojskowi nie zajęli pierwszego miejsca. Ale niestety tak było, jak było. Mnie się udało kilka razy zająć dobre miejsce. W 1958 roku pobiłem rekord Polski – na jakichś tam pobocznych zawodach, to nie były Mistrzostwa Polski – zrobiłem rekord Polski. Niewiele, tam o 2 punkty na 600 możliwych. Miałem tam coś 558, i to był rekord Polski wtedy. Na pierwsze zawody zagraniczne pojechałem do Budapesztu w 1957 roku. Bardzo fajnie było, bo żeby wyjechać za granicę, trzeba było mieć paszport. Ale paszportu myśmy nie mieli u siebie, tylko one leżały w biurze paszportowym, i to dostawało się paszport, dopiero jak się wyjeżdżało. Więc cała nasza drużyna – było 5 zawodników i 2 kierowników, trener i kierownik – czekaliśmy na dworcu głównym w Warszawie, jeszcze na tym głównym, takim przedwojennym – właściwie nie – krótko powojennym, przy Towarowej. Siedzieliśmy. 14:00 z minutami mieliśmy mieć pociąg. Bilety były kupione do wagonu sypialnego, no bo do Budapesztu jedzie się parę godzin, żebyśmy w nocy się mogli przespać. 5 minut po odejściu pociągu przywieziono dopiero paszporty. Bo cały czas czekaliśmy na te paszporty. No, ale pociąg pojechał, a myśmy pojechali dopiero wieczorowym pociągami. Na siedząco już, bo już mieliśmy paszporty. 1958 roku trafiłem na Mistrzostwa Świata do Moskwy. Nie zająłem dobrego miejsca, bo jeszcze nie byłem doświadczonym zawodnikiem. Na 74 czy 75 zawodników zająłem 33 miejsce, czy 34, już nie pamiętam. W każdym razie dość dalekie miejsce. To był 1958 rok. W 1959 roku trafiłem na Mistrzostwa Europy, do Mediolanu tym razem pojechalśmy. Tam zająłem 15 miejsce na 64. No, to już było trochę lepiej. W 1960 roku na olimpiadę nie pojechałem, bo nie dostałem paszportu. A w międzyczasie, jak trwała olimpiada, to były Mistrzostwa Warszawy, zająłem pierwsze miejsce. Jakoś tam było. W 1959 roku zdobyłem Mistrzostwo Polski. W 1962 roku drugi raz zdobyłem Mistrzostwo Polski w strzelaniu z pistoletu, bo już nie z karabinu, tylko z pistoletu strzelałem. No ale... Pewnego pięknego dnia w 1962 roku przyszło do zakładu pismo MSW, żeby oddelegować inżyniera do pracy do MSW, do Zarządu łączności. Wahałem się trochę, co zrobić, ale powiedzieć „nie”, nie mogłem. To było taka propozycja bez możliwości odmowy. Ale w ankiecie personalnej, takiej długiej, 8-stronicowej, napisałem, że jestem bezpartyjny, że jestem wierzący i praktykujący. Myślę, że jak nie będą mnie chcieli przyjąć z tego powodu, to będzie wszystko dobrze, zostanę nadal tutaj. No, ale przyjęli mnie, przyjęli mnie. Pracowałem 12 lat. W tym czasie trzeba było zmodernizować tak zwaną łączność rządową. Nie wiem, czy panowie wiecie coś, co to było. To była unikalna łączność przeznaczona wyłącznie dla rządu. Ministrowie i ci ważniejsi mieli bezpośrednią łączność z województwami. W województwach znowu były wydziały łączności, które w razie czego, jeżeli trzeba było, tutaj ktoś z Warszawy chciał się połączyć z powiatem, to była następna łączność do powiatu. Tak że ten tutaj w Warszawie podnosił telefon, mówił, z kim chce być połączony. Momentalnie dostawał łączność. Nawet jeden... A w cywilnym życiu na połączenie międzymiastowe nierzadko trzeba było czekać parę godzin. Dyrektor fabryki urządzeń telegraficznych w Poznaniu – nie pamiętam jego nazwiska – ale mówił, dlaczego mamy taką złą łączność, że mamy kłopoty w ogóle z uzyskaniem telefonu na miejscu, a z połączeniem się gdzieś dalej, no, to trzeba było godzinami czekać. O połączeniu zagranicznym nawet nie było co marzyć. Powiedział: „Dlatego jest zła łączność, bo rząd ma dobrą łączność”. Bo rzeczywiście rząd miał dobrą łączność. Mnie przypadło zadanie zrobienia urządzeń dla Warszawy, dla komend wojewódzkich. No, i to przez parę lat, 12 lat tam pracowałem. Zrobiłem, uruchomiłem łączność w Warszawie, województwach, do powiatu.